Rok VII. 31 Stycznia 1926 r. Nr. 4.

HARCERZ

TYGODNIK MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ

ROLA.

W dziejach narodów i państw, a także w dziejach rodzin i jednostek niejednokrotnie zdarzają się chwile, nawet okresy długie nadzwyczaj trudnych sytuacyj, bywają tak ciężkie położenia, że zda się wszystko runie i nic się nie ostoi wobec przeciwności losu, wobec bijących wciąż i wciąż gromów.

Może niejeden z członków i członkiń organizacji harcerskiej i teraz też odczuwa, że wokół nas jakaś ciężka atmosfera — gdy przyjdzie do domu, widzi smutne twarze rodziców, gdy na pracę szkolną przybywa, spostrzega chmury na czołach nauczycielstwa, a i koledzy także, szczególnie ci poważniejsi, głębiej myślący, nieraz zamyśleni, nie tacy weseli, jak ongiś, czegoś im brak i nie chcą nawet przyznać się, czego?

Że zaś obowiązkiem każdej wartościowej jednostki, a więc i każdego harcerza i każdej harcerki jest pogodę stwarzać wokół i starać się pomóc i ulżyć każdemu, więc i taka młoda istota — wszystko jedno czy ma dziesięć czy szesnaście lat — zastanawia się nad tem: jakby te chmury spędzić z kochanych czół, jakby ucieszyć i ulżyć tym, którym dobrze życzy, którzy są jej bliscy, czy ze względów rodzinnych, czy społecznych. I nieraz aż zęby zaciśnie z bólu, bo zdaje się jej, że nie rozporządza środkami potrzebnemi do tego, by uśmiech wywołać, by zetrzeć posępny cień z drogiego czoła.

Czy jednak nie posiada?

Czem są klęski, jakie życie niesie, czem trudności różnych sytuacyj?

W czasie wojny wciąż powtarzano zdanie, że ten naród zwycięży, którego nerwy więcej wytrzymają, ten, którego siły duchowe pozwolą mu więcej znosić niepowodzenia i stać na posterunku i wierzyć, że przyjdzie lepsze jutro.

Wszak życie jest walką. Tę walkę prowadzić musi każdy człowiek, czy chce, czy nie chce. I ten wygrywa życiową walkę, ten przejdzie przez życie zwycięsko, kto może mimo ciosów nie zachwiać się, nie upaść.

Siła ducha przedewszystkiem potrzebna jest nam w każdej okoliczności życia. Jest też ona potrzebna każdej jednostce i każdej rodzinie. Czy w tej dziedzinie młodzież nic nie może dopomóc swym najbliższym, tej części społeczeństwa, która jest jej najbliższą, z którą wciąż się styka i współżyje?

Nic tak nie osłabia siły duchowej człowieka, jak zmartwienie. Czy nie możecie tych zmartwień zaoszczędzić rodzicom, nauczycielom? Wszystkich nie usuniecie, ale to zrobić może każdy, aby nie przy-

czyniał zmartwień, aby do ciężkich chwil swych najbliższych nie dodawał kłopotów nowych.

I nie tylko dobre postępy w szkole, nie tylko praca w swoim zakresie własnym, praca sumienna, gorliwa, stanie się środkiem dla rozjaśnienia domowej atmosfery.

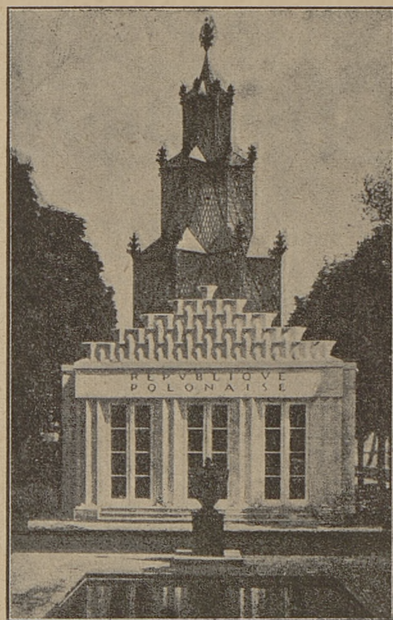
Jest cała moc zajęć, które czy w domowem gospodarstwie, czy w życiu drużyny, czy w pracy klasy całej można wykonać, pomagając innym, a zwłaszcza własną swą pogodą podnosić ducha swego otoczenia.

Harcerstwo winno czynnie dopomagać nawet w najtrudniejszych zagadnieniach, nie wolno mu cofać się wobec trudności chwili. Im jaśniejsze będą Wasze czoła, im silniej zaznaczać się będzie Wasza wartość wewnętrzna, moc Waszego ducha, tem łatwiej będzie starszemu społeczeństwu przetrzymać czas ciężki, gdyż w Was widzieć będzie rosnącą siłę, w młodzieży czerpać będzie osłodę w goryczach, ciepłem swego ducha zagrzejcie je do dalszej walki, natchnijcie je pragnieniem wytrwania.

Oto czynna rola Wasza — ciężka, poważna — lecz jakże promienna znaczeniem!

T. U.

NA WSZECHŚWIATOWEJ WYSTAWIE SZTUKI DEKORACYJNEJ w PARYŻU POLSKA ZDOBYŁA JEDNO Z PIERWSZYCH MIEJSC.



ILUSTRACJA NASZA PRZEDSTAWIA PAWILON POLSKI, KTÓRY BYŁ PRZEDMIOTEM PODZIWU WSZYSTKICH NARODÓW.

MODLITWA HARCERKI.

O Boże Panie i Stwórco nasz,
Co serc gorących pragnienia znasz,
Daj, byśmy weszły w to życie śmiało,
I z mocą taką, by w nas nie drżało
Serce, by liść!

O Boże Panie, w dusze nam tchnij
Miłości wielkiej. W opiece swej
Miej nasze duchy, by w życia drodze
Były, jak one potężne wodze,
Idące wciąż wprzód!

O Boże Panie, prosimy daj,
Byśmy do pracy porwały kraj,
Do pracy ciągłej i nauczyły,
Jak z trudów czerpać zdrowie i siły,
Pogodę brać.

O Boże Panie, w wyże się piąć,
I nigdy łamać i nigdy giąć
Pragniemy—służyć Polsce i Tobie,
Pełnię człowieka budując w sobie
Wysiłkiem swym.

Bajuta z 26 W. Ż. Dr. H.

JAN NIECZUJA-URBAŃSKI.

JÓZEF SUŁKOWSKI.

(Ciąg dalszy).

Nie odrazu udało się Sułkowskiemu wstąpić w szeregi czynnej armji francuskiej. Niedawna zdrada Polaka, republikańskiego generała Miączyńskiego, wspólnika Dumouriez'a, częste swary pierwszych emigrantów polskich, knowania Polskiej Deputacji w Paryżu, wreszcie opinja „arystokratycznej Polski" szkodziły wielu Polakom, pragnącym ofiarować swe służby republikańskiej armji Fancji. Tem się tłumaczy i to, że Sułkowskiego, jak to sądzić można z jego listu, pisanego do ciotki ks. Sułkowskiej,*) przyjęto z początku z nieufnością.

Na razie został wysłany Sułkowski w r. 1793 przez rząd francuski do Stambułu z misją dyplomatyczną w sprawach, związanych z antyangielską polityką Francji.

Spotkawszy się tam ze znanym sobie z Warszawy posłem francuskim Descorche, Sułkowski złożył mu memorjał o wojnie polsko-rosyjskiej, w którym nader pochlebnie wyrażał się o swych towarzyszach broni Kościuszce i ks. Józefie. Memorjał miał na celu zachęcenie rządu Francji do interwencji czynnej w sprawie polskiej. Widzimy więc, że daleko na obczyźnie, w wirze interesów dyplomatycznych obcego państwa, o ojczyźnie swej nie zapomina i stara się jej dopomóc.

Wiedząc już dawniej o toczącej się w kraju wojnie, dopiero w jesieni 1794 roku mógł wyruszyć Sułkowski do Polski, by stanąć w szeregach, walczących pod dowództwem Naczelnika patrjotów. Przez Adrjanopol i Bukareszt, przez władze austrjackie i angielskie ścigany, zdołał przedrzeć się do kraju — ale przybył za późno: zdążył zaledwie na rzeź Pragi, by raz jeszcze w walce bezpośredniej z zaborcą przelać krew za sprawę ojczyzny. Po upadku insurekcji, powtórnie musiał uchodzić z kraju — już nietylko z własnej woli.

Do roku 1796 bawił Sułkowski na Wołoszy, w Małopolsce, we Włoszech, nie zużytkowawszy tego czasu na żadną bardziej energiczną akcję potityczną. Z początkiem r. 1796 wraca do Paryża; pisze tam i składa rządowi francuskiemu memorjały w sprawie Polski, starajac się zainteresować wpływowe czynniki Francji sprawą swej ojczyzny i skłonić je do wywołania powtórnego powstania. W tym samym czasie dojrzewa w Sułkowskim myśl, aby posiąść wprawę w sztuce wojskowej, pojąć tajemnice wojny i zwycięstwa i, okrywszy się chwałą żołnierza i wodza, wrócić kiedyś do ujarzmionej Polski, aby ją z pęt niewoli wyzwolić.

Zaprzyjaźniwszy się z rodziną Venture'a, uczonego orjentalisty, którego córkę pono poślubił, zdołał uzyskać obywatelstwo francuskie, co było mu wielkiem ułatwieniem w jego staraniach o przyjęcie go do armji francuskiej.

Zaprzyjaźniony przez czynnego w Paryżu Polaka, Maliszewskiego, i Rousselin'a, Saint-Albru ojca swego przyszłego biografa, z generałem Cherin'em, szefem sztabu Hoche'a, przy jego poparciu u ministra Petiet'a, przyjęty zostaje Sułkowski 1 maja 1796 roku, już jako obywatel francuski, w randze kapitana piechoty a la suite do armji włoskiej.

Od tego czasu zaczynaja się dzieje jego łączyć z Napoleonem. Pierwsze spotkanie Sułkowskiego z Bonapartem odbyło się 28 czerwca w Livorno, gdzie młody Polak w służbie francuskiej przedstawił się również młodemu generałowi Dyrektorjatu.

Z początku otaczała Sułkowskiego atmosfera nieufności. Obawiano się go; a nawet podczas decydującej ofenzywy przeciw austrjackiemu generałowi Würmserowi odesłano go do korpusu oblężniczego pod Mantuą. Szczęśliwie okoliczności wkrótce

---

*) List z dn. 2 maja 1793 r. do x. Sułkowskiej (Augustowej prawdopodobnie).

tak się złożyły, że Sułkowski mógł błysnąć swą odwagą i wystąpieniem pierwszem zwrócić uwagę naczelnego wodza. Stało się to pod Castiglione, gdzie 5 sierpnia Sułkowski uczestniczył w zwycięstwie i dał się poznać Napoleonowi i ocenić, za co otrzymał nominację na adjutanta przy sztabie głównym.

W krótkim czasie, po następnej bitwie pod Bassano, odznaczył się Sułkowski w bitwie pod San-Giorgio, gdzie na oczach Napoleona szedł na ochotnika do ataku na czele 260 żołnierzy. Zwycięstwo to i ujawniona przez niego w bojach odwaga, zyskały mu miejsce przybocznego adjutanta Bonapartego. Jest on od tego czasu nieodłącznym przyszłego cesarza towarzyszem, a jak chce legenda, powiernikiem i przyjacielem od serca; pozostanie przy nim do śmierci.

Przyjmował Sułkowski czynny udział w kampanji listopadowej przeciwko Austryjakom, bił się pod Arcole, zwycięsko wkroczył w orszaku Naczelnego Wodza do Medjolanu. Wśród wielu nowokreowanych wyższych oficerów i generałów Republiki, on jeden wyróżnił się wyższą kulturą i zdolnościami, graniczącemi z genjuszem; to też powszechne zyskał sobie uznanie. Mówią, że zbawca Pierwszej Republiki, Carnot odezwać się miał, że gdyby zabrakło Napoleona, miejsce jego mógłby zająć jedynie Sułkowski; Napoleon zaś uważał pono, że jedynie możliwy dla niego awans — to awans na naczelnego wodza.

Będąc jeszcze adjutantem przy sztabie głównym, a więc bliżej środowiska, które słusznie uważał za kuźnię polityki francuskiej, a w niedalekiej przyszłości europejskiej, nie omieszkał Sułkowski skorzystać ze sposobności, aby poruszyć sprawę Polski, odpowiednie czynniki sprawą tą zainteresować, a następnie je wykorzystać.

Będąc przez Deputację Paryską w stosunkach z przebywającym w Konstantynopolu ks. Michałem Ogińskim, Sułkowski poradził mu zwrócić się imieniem Polaków do Napoleona, któremu zapewne, pierwszy z Polaków, sam uprzednio przedstawił opłakany stan swej ojczyzny. Przypuszczał Sułkowski, że Bonaparte stanie wkrótce na czele rządu Francji i dyktować będzie prawa monarchom Europy; dlatego też i losy swe z osobą Bonapartego związał i dał ową radę Ogińskiemu.

Wówczas po raz pierwszy oficjalnie poruszoną została wobec Napoleona sprawa Polski. Michał książe Ogiński nadesłał do Napoleona, na ręce Sułkowskiego pismo, w którem imieniem Polaków prosi go o podjęcie sprawy polskiej i o czynną pomoc w odzyskaniu niepodległości. Napoleon, otrzymawszy we wrześniu 1797 r. list Ogińskiego, odpowiedział mu w zwróconych do Sułkowskiego znanych słowach, najbardziej może szczerych, jakie kiedykolwiek były z jego strony pod adresem Polaków skierowane.

Podczas kampanji włoskiej miał Sułkowski niewdzięczne do spełnienia zadanie, które mu wyznaczyła zaborcza, a w wielu wypadkach perfidyjna polityka Napoleona. Oto otrzymał od Napoleona misję egzekucyjną do Wenecji; miał łamać opór arystokratycznej republiki, o knowania z Austryjakiem podejrzanej, i nowe, obce zupełnie, republikańskie wprowadzić zwyczaje. Misję swą Sułkowski wypełnił z tą energją i wolą niezłomną, jakie cechowały całą jego działalność. Czy chętnie i szczerze — nie wiemy.

Prawda, obalenie starożytnej oligarchji weneckiej szło po myśli jego najserdeczniejszych przekonań osobistych, ale z drugiej strony Sułkowski stał się bezwiednie narzędziem w ręku uzurpatora, który rzucając nowe hasła demokratyczne rewolucji francuskiej, oddawał równocześnie perłę Adrjatyku, obrawszy ją z bezcennych skarbów, w ręce austrjackiego cesarza.

I tu jest ten tragizm, jaki przewija się w dziwnych losach naszego oręża w Weronie, w Hiszpanji, na San Domingo. Powtórzy się raz jeszcze, gdy Sułkowski dla sławy przyszłego wodza zbawczych wojsk Polski, szarżować będzie na niewinnych, broniących swej wolności powstańców Kairu...

(c. d. n.)

Sunął głos przez fale... i omroczonych brzegów pustkowia...

Nad wysokiemi brzegami Rozewja zawisła rogorzała, ogromna tarcza czerwieniejącego słońca.

Rozświeciły się tęczobarwne promienie, obiegły niebo, — pieszczą niebieskawe chmurki — i giną hen w przestworzach. Upalny dzień sierpniowy żegnał nas cudnym zachodem. Na zielonych łąkach i dalej na rozsypanych wydmach — w rzadkiej, karłowatej jedlinie—cichły szmery— tłumiły się ostatnie duszne wiatru powiewy...

Ziemia, matka, uczuła bliskie osamotnienie, ukrywa jak umie drogie istoty — nim noc ciemna, bezksiężycowa rozpostrze mroków płaszcz. Cicho tu wszędzie, lecz tam poza żywych piasków smugą coś szemrzy, howorzy — coś łka... stanąłem i patrzę.

Wiew zimniejszy musnął mą twarz — to może znać o sobie daje.

U stóp mych długie, bezsilne leżą ławice — przeraźliwie smutne, bolesne swą szeroką martwicą. Niby dreszcz po nich przemknął, gdy promień słońca smugi cieniów fjoletu rozsunął — lecz chwila to tylko, złudzenie — one wciąż omdlałe, zastygłe...

Na to leże smutku wtarga raz poraz spieniona uniesieniem woda, — rwie wściekła przeszkodę, lecz darmo—próżne pieniacze zakusy,—biała wstęga trwa, milcząca, bohaterska...

Tu niema, ogromna rogorzała walka — walka żywiołów bezmiernych, nieskończonych...

Szar—pać! szar—pać! ryczy ciemno stalowa otchłań, - rozwiera, wznosi molochową chciwość, zażartość, bezgraniczną namiętność, szał... rozpętanie...

Krwawo łysnęły w wodnych odmętach gasnące słońca odblaski — i jak straż tylna, czująca przemknęły po ciemniejącem niebie.

Zmierzcha—noc idzie — jest blisko... tuż, tuż... a morze pieni się... howorzy...

Ogromny smutek, tęsknota oderwały się od tych kształtów grubych brzegów zamarłych — od szmerów uchodzących fal — i szły przez samotnych jedlin igły hen kędyś w świat...

Wtem gdzieś z boku w muzykę nadbrzeżną nocy wkradł się nowy akord—to garstka harcerzy—zastęp wędrowców, pieśń swą ogniskową wzbudził...

Zagrały uczucia, urokiem tej chwili rozdęły piersi młode...

Morze cichło—zdawać się wsłuchało w te silne, zapalne tony, zdawało się zdumiewać, zamyślać...

I sunął głos naszych pień w nocnej senności-ciszy, przez fale i brzegów pustkowie...

jak potężny lew,
jak ducha moc,
ducha, co w naszych, harcerskich piersiach żyje...

Tadeusz Ptaszycki.
I. W. D. M.
Warszawa, dn. 12-XII.1925 r.

Sen i rzeczywistość.

Tym razem miałem sen bardzo przyjemny.

Była wielka, powakacyjna odprawa drużynowych stolicy. Znany dobrze „Rekin" składał sprawozdanie z akcji obozowej. Wypadło doskonale. Wszystkie drużyny stolicy miały swoje obozy, na które powyjeżdżały w pełnych, całorocznych kompletach. Tak! Tylu ilu było w drużynie, tylu pojechało na obóz. Sukces niezwykły.

Wiadomość ta wprawiła wszystkłch w dobry humor. Posypały się powinszowania, rozległy się okrzyki na cześć lata i podniosła się taka wrzawa, że uważałem za stosowne obudzić się.

Z przebudzeniem się pierzchnęły złudzenia. W Polsce jeszcze nigdy tak dobrze z obozami nie było. I przypomniała mi się taka rozmowa z naczelnym kapelanem „Scauts de France".

— „Ile jest drużyn w Paryżu?" —

— „28" — notuję i pytam dalej:

— Ile drużyn było na obozach?"

—„Wszystkie" — „A jaki procent chłopców brał w nich udział?" — „Jakto, jaki?" — No tak, ilu ludzi było z drużyny na obozie?" — Jakto ilu? — wszyscy!" — nie mógł kapelan zrozumieć o co mi chodzi, bo tam *wszyscy* muszą być na obozie.

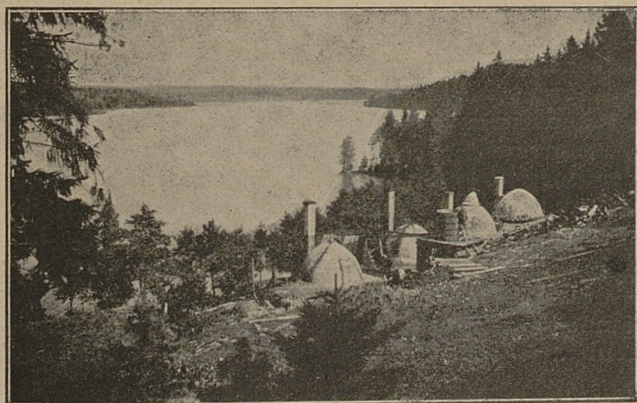
A u nas?

Zbliża się lato, i jest taki zwyczaj, że każdy poczciwie myślący drużynowy, każdy rzetelny harcerz, zaczyna w styczniu myśleć o przyszłym obozie. Pierwszy szuka miejsca na obóz i myśli o gotówce, (w tym roku, od tego myślenia, głowy drużynowym popękać mogą), drugi winien myśleć o ekwipunku, mundurze no i forsie, rzecz prosta. Czy nie byłoby dobrem, żeby tak razem pomyśleli, i o tem, żeby cała drużyna — od najmniejszego biszkopta do najważniejszego ćwika — pojechała na obóz, żeby przy ognisku nie brakło żadnej „twarzy", która wchodzi w skład drużyny.

Spróbujmy; A jak się uda, to do „Harcerza" o tem napiszemy.

t. w.

Trzynastak z Warszawy.



FRAGMENT WIGIER.

WSPOMNIENIA.

Przed sześciu prawie laty... pogodny, jasny dzień..,

Wśród starszych chłopców jakieś niezwykłe poruszenie. Szybkie, gorączkowe ruchy i odpowiedzi,... a twarze rozweselone. Nastrój,... jakby w oczekiwaniu niezwykłych wypadków. W istocie dla nas, młodych tak było! Za parę dni bowiem od tych, tak tajemniczych rozmów, usłyszało się w „Grodzie Jagiełły“ nieznane, lub dawno zapomniane słowo: „Czuwaj!“ „Czuwaj!“ „Czuwaj!“ — brzmiało coraz częściej i brzmi już sześć lat...

...Tak powstaliśmy my... młode polskie pokolenie do życia, by być „...wiernymi Bogu i Ojczyźnie, nieść chętną pomoc bliźnim, być posłusznym prawu harcerskiemu!“ — A teraz czuwamy!

— — — — — — — — — — — —

Godzina 9-ta wieczór... ognisko płonie... suche szczapy, wrzucane do ognia, wzbijają setki iskier, które, jak błędne ogniki ulatują hen ku górze i nikną... nikną... Przy ognisku brać nasza ukochana z pod znaku lilji... nastrój uroczysty... błogi. Za chwilę zabrzmiało z kilkunastu piersi i uniosło się w przestworza: „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród!“ — A potem głos komendanta: „...tak żyć, tak macie postępować, gdyż tego wymaga nasze prawo! Pamiętajcie, że: „Raz skautem, to na zawsze!“.

.....Cisza! — Po chwili słychać twarde i niezłomne jak grunt słowa roty przyrzeczenia...

Niedługo potem zapanował gwar i wesołe słychać głosy. To radość niezmierna wśród harcerzy, gdyż od owej chwili należą do wielkiego Bractwa Harcerskiego.

Krzyż harcerski mieni się od ognia na ich piersi...

— — — — — — — — — — — —

Worochta!— Cudne polskie góry! Jakiż urok z nich tchnie, a serce napełnia duma! Sierpniowa, jasna noc... pełnia... na niebie kobierzec utkany z gwiazd. Widać sześć namiotów harcerskich. — To obóz. — Noc. Cisza... Od czasu do czasu odezwie się sowa, zaszczeka pies i nic... znowu cisza.—Tylko sylwetka czuwającego harcerza z zastępu „krokodyli“; snuje się jak mara po obozie tu i tam.,. tu i tam. — Stanął czuwający harcerz, oparł się na karabinie i duma o Polsce... o tych wspaniałych górach..., o słonecznej przyszłości... a Prut szemrze i szemrze...

Nic! godzina pierwsza w nocy— Cisza... Nagle stąpania czyjeś! Jakaś postać wyłania się z za namiotu. — Harcerz budzi się z zadumy, wytęża wzrok i słuch, i woła: „Stój! Kto idzie!? — „Zmiana warty“ — brzmi odpowiedź. — Zmieniają się.—

I znowu samotna warta czuwa nad bezpieczeństwem obozu, pogrążonego we śnie. A księżyc kryje się za chmurami i znowu świeci swem srebrnem światłem... a harcerz czuwa.

Tadeusz Kleszczyński.



R. BADEN-POWELL.

Jerzy Stephenson i pierwsza lokomotywa

Stephenson nie był właściwie twórcą maszyny lokomotywy, gdyż już w 1810 r. R. Trevithick zbudował parową maszynę, poruszającą się po zwykłych drogach, nie znalazła ona jednak szerszego zastosowania. Mieszkający w sąsiedztwie Stephenson, właściciel kopalni, dokonał w tej maszynie szeregu ulepszeń i począł jej używać do przewożenia węgla na niewielkie odległości. Zainteresowany temi próbami Stephenson postanowił wraz z kowalem kopalni zbudować lepszy wóz i oto w lipcu 1814 r. urządzili pokaz swej maszyny; przewoziła ona 30 tonn, szła zaś z szybkością 4 km. na godzinę. Przez rok pełniła służbę w kopalni, twórca zaś jej dokonał szeregu dalszych udoskonaleń, tak iż w 1822 r. istniało już 5 lokomotyw, przewożących węgiel na 8[0] km. odcinku. Wówczas to postanowiono zbudować dłuższą kolej i zawiązało się towarzystwo, mające na celu przeprowadzenie połączenia kolejowego, pomiędzy Darlington i Stocktan. Napotkało ono jednak zrazu na wielkie trudności, nie z powodu topografji, lecz z powodu tego, że jeden z właścicieli ziemskich nie chciał pozwolić na przeprowadzenie kolei przez swoje posiadłości, motywując to popsuciem polowania. Wreszcie wszystkie przeszkody zostały usunięte i 25 września 1825 r. linja została otwarta z wielką uroczystością. Najpierw jechał konny z chorągwią, potem lokomotywa, prowadzona przez samego Stephensona, na czele szeregu 30 wozów, napełnionych bądź ludźmi, bądź węglem. Jechano z szybkością 5 km. na godzinę, następnie jednak Stephenson puścił ją z szybkością 12 km. na g., co wywołało zdumienie i przerażenie jadących. Wogóle uważano to za zbyt wielką prędkość na codzienny użytek, jeszcze większą zaś za nonsens i niepodobieństwo. Tymczasem twórca maszyny nie zrażał się trudnościami i oburzeniem ludzkiem i puścił swoją starą lokomotywę „Racę” z szybkością 29,5 km. na godz. Stworzono Towarzystwo budowy kolei pomiędzy Manchester i Liverpool. Należało jednak uzyskać na to pozwolenie parlamentu, to też Stephenson musiał wyłożyć cały swój plan przed Komisją parlamentarną. Większość jej członków uważała plan ów za nierealny i sprzeciwiała się udzieleniu pozwolenia. Oczywiście nie można było wyjawić projektowanej szybkości 20 km. godz., bo to by sprawę pogrzebało, to też była mowa tylko o 8-o lub 10-o kilometrowej. „Przypuśćmy, rzekł jeden z członków Komisji, iż na drodze pociągu znajdzie się krowa, czyż nie mogłoby się zdarzyć coś bardzo przykrego wówczas?“ „Tak, bardzo przykrego dla krowy”—odrzekł Stephenson.

Największą przeszkodą w wykonaniu tego planu, była okolica, zwana „Chat Moss“, pas kraju około 12 km. szerokości, pełen bagien i moczarów. Wydawało się nieprawdopodobnem, by można było tamtędy drogę przeprowadzić, to też parlament odmówił swego pozwolenia, a większość dotychczasowych zwolenników Stephensona opuściła go. Dzięki jednak jego niezmordowanej energji po upływie roku pozwolenie uzyskano. Zaczęła się tedy praca. Była ona bardzo ciężka, gdyż nie miano dokładnej mapy okolic, którą dopiero trzeba było zdejmować. Przeszkadzała przytem ludność miejscowa, która sądziła, że koleje będą straszyć bydło, że iskry z lokomotywy zapalać będą zboże, a dym zatruje drzewa owocowe; to też wszelkiemi

sposobami przeszkadzała topografom w ich pracy. Widząc to syn Stephensona począł dokonywać sam pomiarów nocą i w ten sposób otrzymano mapę. Wielkie to były trudności z robotnikami, gdyż nie przyzwyczajeni byli do tej pracy i niepilnowani porzucali ją. Skoro jednak zobaczyli, że kierownik roboty sam ciężko pracuje i gotów jest każdej chwili zakasać rękawy i pokazywać im, a również, że stara się o możliwie najlepsze dla nich warunki, nabrali ochoty i poczęli wkładać w pracę całe swe staranie i dobrą wolę.

Stephenson był w całej pełni typem harcerskim. Wierny swym przyrzeczeniom, stanowczy i lojalny, odznaczał się oszczędnością i poprzestawaniem na małem, jak również wielką życzliwością dla całego świata, ludzi i zwierząt. Zebrał wkoło siebie gromadę młodych chłopców, których wychowywał i dawał im fach. Powtarzał im też zawsze: „Uczcie się sami. Myślcie sami. Bądźcie wytrwali, pracujcie twardo i dokażcie swego. A napewno zrobicie swoje”. Zrywał się zawsze wczesnym rankiem, sam gotował sobie posiłek i ruszał do roboty. Zaś najlepszym przykładem „dokazania swego” było przeprowadzenie kolei przez Chat Moss. Były tam takie bagna, że ludzie nosili specjalne obuwie, żeby się nie potopić; kładli też sobie deski jak groble, zanim zbudowali coś nakształt drogi: Na to kładziono faszynę, bale, znów deski, aż wreszcie możliwem się stało położenie szyn pod lekkie wagoniki, które pchane przez chłopów dowoziły materjały do budowy. Większość inżynierów uważała sytuację za beznadziejną, robotnicy porzucali pracę i tylko dzięki wytrwałości Stephensona doprowadzono ostatecznie budowę do końca. Gdy zaś praca była ukończona, Towarzystwo, prowadzące budowę, zażądało puszczenia tylko platform ciężarowych, ciągnionych przez konie. Lecz Stephenson pragnął, by była to droga dla maszyn parowych—i znów dopiął swego. Jeden z towarzyszących mu inżynierów wyrzekł te słowa: „Jeśli przejdzie tędy lokomotywa z szybkością 10 km. na g., gotów jestem zjeść jedno z jej upieczonych kół“. Lecz oto Dyrekcja ogłosiła nagrodę 500 ft. szterlingów za przejazd tą drogą lokomotywy ważącej mniej niż 6 tonn, z ładunkiem 20 tonn i szybkością 10 km. na g., „Raca“ dokonała tego, przyczem ważyła tyiko 4,5 tonny, jechała zaś z szybkością 30 km. g. Historja milczy jednak o tem, czy inżynier ów spełnił swój zakład.

Baden-Powell zwraca się do młodzieży angielskiej, radząc jej, by naśladowała wielkiego Stephensona i w chwilach, kiedy wszystko wydaje się beznadziejne mówiła sobie: „Dokażę swego”, a napewno zwycięży. I namby się to też nieraz przydało.

Pomnóżmy naszą pracę i umniejszmy próżniakom żywności. Niech rząd sprzyja wszystkiemi sposoby powiększeniu urodzajów krajowych i czystego dochodu, a niechaj zabroni surowo zagranicznych towarów.

St. Staszic: Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego.

Kurs Chor. Wołyńskiej w Zielonej.

(Ciąg dalszy).

Razu jednego był alarm nocny. Ciemność choć oko wykol. Rozeszły się zastępy każdy w inną stronę z innym rozkazem. Szczękały zęby w marszu naprzełaj, bo i chłód był nocny i obawa wielka, a największe doły... Cisza była taka, że włosy stawały na głowie, jeśli nie dęba, to coś w tym guście. Jeden z zastępów, w którym był nasz obozowy trębacz przedarł się przez rzekę i dotarł aż do wsi. W jednej z chat odbywały się właśnie „muzyki", tańczono, przytupywano, że aż ha!.. Gdy kapela wiejska ustała, wziął nasz trębacz grać im skocznego oberka. Posypały się okrzyki podzięki, oklaski, aż wreszcie wściekły obertas, taki reymontowski zagłuszył wszystko...

Ochocza była wiara na naszym Kursie!

— — — — — — — — —

Mieliśmy też często gości w obozie z Kowla, i naodwrót — sami odwiedzaliśmy Kowel.

Raz napłynęła większa ilość gości. Odwiedził nas Zarząd Oddziału, pp. Laskowscy, na których terenie stał obóz a opiekowali się nami b. serdecznie, przyjechał dh Nekrasz, który wizytował nasz Kurs, wiele starszych osób z miasta, wreszcie grupa okolicznych włościan, z którymi w b. serdecznych byliśmy stosunkach. Z obiadem wiele kłopotu miał prowiantowy i kucharze, ale był wcale niezły. W trakcie obiadu druhny śpiewały wesołe, naprędce skomponowane piosenki b. często na naszą cześć, ale najczęściej na swoją, zrobiono parę zdjęć (na Kursie czynne były 2 aparaty), humoru było co niemiara!..

Potem zwiedzano obóz, wreszcie nadeszła zamówiona w Zielonej kapela. Taka typowa wiejska, piszcząca, jęcząca, czasem znów rzewna i smętna, że aż się ckliwo robiło na duszy...

A taka ci w niej zawadjacka hardość była, taka krewkość się tłukła, taka zawziętość, że ha!..

I poszły pary w wir wściekłego tańca!..

Furkotały jeno sukienki i biły podkówki, aż kurz się unosił, bo juści iskry nie mogły się z piasku posypać!

A potem zaprosiliśmy do tańca wiejskie dziewoje. Ho, ho jakci tańczyły! — wcale nie gorzej od naszych druhen. A jakci się w tańcu trzymały. Siłę to za cztery dhny każda z nich miała... Szczęście, że nasza Kursowa wiara też krzepką w sobie była. Tany ci to były, tany! *)

— — — — — — — — —

Bawiono się do nocy. Później ognisko wspólne z gośćmi. Śpiewy, to te nasze wesołe, to smutne. „Płonie ognisko", „Żal, żal za dziewczyną", „A u nas w obozie", albo nasze Kursowe piosenki.

Późno już było gdyśmy żegnali gości. Owacjom nie było końca...

A padło ostatnie Czuwaj! ucichły w dali gwary, a pozostał usypiający obóz. Teraz dopiero może nie jednemu jakoś ckliwo się zrobiło na sercu...

— — — — — — — — —

*) Podobno nasz fotograf chciał złapać na kliszę roztańczone pary, ale tak wściekle wirowały, że żadną migawką nie mógł ich uchwycić.

Zżyło się bractwo ze sobą bardzo, pomimo że z tak odległych i różnych byliśmy od siebie stron. Z Kowla, Lubomla, Kamieńca, Łucka, Dubna, Równego, ba nawet z historycznego Krzemieńca. Zastępów trzy było. Początkowo „Lisy” starały się rzetelnie, później wyprzedziły ich „Wilki“.

Dnia 2.VIII.25 r. nastąpiło uroczyste zakończenie Kursu, odczytanie ostatniego rozkazu i wyników zawodów, opuszczenie sztandaru. Zastęp „Wilków“ został pierwszym, 4 druhów ukończyło kurs z odznaczeniem, 2 zdobyło ćwika, kilkunastu wywiadowcę, jeden złożył przyrzeczenie, zdobyto cały szereg sprawności.

Po „rozejść się” rozpoczęły się owacje na cześć I-go zastępu, Komendy i szarż, odznaczonych, nowych ćwików i wywiadowców, wreszcie całego Kursu. Na wszystkich przyszła kolejka lecenia do góry, aż padł rozkaz wymarszu. Las, stary przyjaciel bardziej serdecznie rozmawiał z nami. Gwarzył, zachęcał nas do pozostania, opowiadał ciekawe historje. Ale trudno, przyszła chwila rozstania się... i z nim wyjazdu z Zielonej.

Oj jak ciężko było porzucać te zakątki... Żegnani przez ludność, opaleni, czerstwi, umajeni opuszczaliśmy Zieloną. Dowidzenia, dowidzenia! żegnaliśmy każdą chatę, każde drzewo, każdego człowieka.

Takeśmy się zżyli z przyrodą Twoją, lasem... Czyż możliwe tu nie wrócić? Ale kiedy, kiedy? — na drugi rok? — oj długo czekać! A las szumiał nam w dali: do swoich wracajcie, do swoich, do pracy. Zanieście tam tę siłę i moc, tę energję młodą, wiedzę tu zdobytą, ciepło obozowego ogniska, radość, świeżość i zapał, zapał, który nigdy nie wygasa! Idźcie! — I kołysał się tam w dali za nami, pod Zieloną i szumiał, szumiał.....

A czuwajcie, zawsze! Czuwajcie!

St. Rost.

CO SŁYCHAĆ w Z. H. P.

Rydułtowy Górne, dnia 12.I.1926 r.

Z wielką i prawdziwą chęcią i przyjemnością piszemy do Ciebie. Obiecujemy być Waszym korespondentem. Cieszymy się bardzo, że pierwszy raz w ciągu swego istnienia drużyna nasza urządza tego jeszcze miesiąca wieczornicę...

W lipcu przeszłego roku, urządziła drużyna Rybnicka, obóz harcerski w Dzięgielowie (niedaleko Cieszyna). Chcemy krótko opisać pobyt w kolonji. Od dnia 13 lipca 1925 r. aż do końca miesiąca trwały kolonje.

13 lipca o godz. 9 i pół r. przybyliśmy na stację Bażanowice, skąd pod komendą druha Urszulika wyruszyliśmy do schroniska. Przed deszczem schroniliśmy się w stodole u jednego gospodarza. Tam przebyliśmy dwa dni. Przez ten czas pomagaliśmy gospodarzowi w gospodarstwie. Na trzeci dzień poczęliśmy się przenosić do obozu harcerskiego. Tego samego dnia po wieczerzy odwiedziliśmy V-ą drużynę Katowicką. Przyjęto tam nas bardzo gościnnie. Pogawędziliśmy trochę przy ognisku i pożegnaliśmy się z nimi. Na drugi dzień ukończyliśmy obóz.

Pierwszy raz spało się pod namiotami i spało się bardzo dobrze.

Było nas tam 4 zastępy. I zastęp „Żubrów”, II „Kukułek”, III „Orłów“, IV „Wilków“. Każdy dzień jakiś zastęp miał służbę, pod przewodnictwem służbowego. A w nocy stał ktoś z druhów na warcie.

Dziesiątego dnia była pierwsza wycieczka i to w góry... O godzinie 4-tej rano wyruszyliśmy w drogę. Rzeczka, która była niedaleko nas, wskazywała nam drogę. Na szczyt góry szliśmy aż dwie godziny. O godzinie 12 przybyliśmy do obozu.

Dnia 24 lipca była druga wycieczka do Cieszyna... O godz. 6 i pół był wymarsz. Za dwie i pół godziny przybyliśmy na miejsce. Najpierw zwiedziliśmy kościół protestancki. Z kościoła szliśmy prowadzeni przez gospodarzy do starego zamku. Stąd było widać rz. Olzę, stanowiącą część granicy polsko-czeskiej i piękne czeskie miasto. Potem poszliśmy do muzeum, gdzie zwiedziliśmy wiele starych i ciekawych rzeczy.

W ostatnich dniach pobytu w obozie złożyliśmy wszyscy próby i przyrzeczenia.

31 lipca rano przygotowaliśmy się już do powrotu, do domu. Po południu, tego samego dnia o godz. 2-ej wyruszyliśmy pociągiem ze stacji Bażanowice i tej samej nocy w Rybniku rozłączyliśmy się z druhami, a o godz. 11-tej przybyliśmy do domu.

Bardzo nam się podobał ten kurs harcerski w Dzięgielowie i nigdy nie zapomnę wesołych i miłych dni tam spędzonych.

Kończąc, dziękujemy i cieszymy się już przedtem, jeżeli nam kochany „Harcerz” przyśle jaką odpowiedź.

Pozdrawiamy Cię serdecznie.

Czuwaj!

Bracia Alfred i Leon Kremzer.

„CZARNA TRZYNASTKA“ O SOBIE.

At! smutno robi się człowiekowi, gdy przeglądając stronice „Harcerza“, ani słówka nie czyta o Wilnie, jakby tu już żadnego życia harcerskiego nie było. Ot, wezmę i napiszę choć parę słów o ostatnich wypadkach naszego życia.

Do tych wypadków nie będę zaliczał już ani zawiązania się pierwszej drużyny w Wilnie w r. 1912, ani nawet obozów tegorocznych, których było aż sz ść na terenie naszej Chorągwi. Nie zostawię za to bez wzmianki powstawania nowych drużyn, które, jak grzyby po deszczu wyrosły w tym roku szkolnym.

Wyrosło ich aż pięć na terenie szkół powszechnych i dwie w szkołach średnich. Praca w nich, wiadomo, jak zwykle bywa z początku, idzie jak podróżny po przez dziewicze lasy afrykańskie. Kierownicy tych drużyn (młodzi nauczyciele i jeden student), ufni w miłosierdzie Boże, z chrześcijańską cierpliwością i przeświadczeniem, że muru głową nie rozbijesz, trwają na swoich stanowiskach.

Drugą rzeczą, zasługującą na wzmiankę, jest zjazd drużynowych i przybocznych Wil. Z. O. w dn. 6 i 7 grudnia 1925 r., lecz że już o tem „Harcerz“, jakkolwiek bardzo krótko, ale wspominał, nie będę już więcej tego powtarzał.

Najważniejszemi wypadkami naszego życia to są wigilje. Trzy drużyny żeńskie z trzema męskiemi zakasawszy rękawy wzięły się w tym kierunku do pracy, że aż skry leciały. Czego tylko na tych wigiljach nie było? Na wołowej skórze człowiek nie wypisze owego smaku gorzko-kwaśnego kompotu, ani owej kleistości łamańców i kruchości ciasta pieczonego przez druhny na promieniach grudniowego słońca. A jakkolwiek wspaniałe były owoce wiedzy kucharskiej druhen, nie dorównały one jednakże artystycznemu programowi owych uczt. Bo i gdzież zebrało się więcej aniołów, djabłów, żydów, cyrulików i innych majstrów, jak nie tam? Gdzież więcej było żywości akcji, gdy ci, wszyscy aniołowie i djabli zaczęli kłócić się, okładać kijami, wyganiać się wzajemnie, to znowu przepraszać? Nie, większego bigosu, jak na wigilji 1 żeńskiej i „Czarnej Trzynastki“, to jeszcze nigdzie nie było. Działy się wprost „cudeńki“, bo był i taniec marynarzy i niebiańskie pienia aniołów i cyrulik, który odrazu pięć bród golił i wreszcie korona całej wigilji „Operetka harcerska“. Operetka ta, która niewątpliwie przewrót zrobi w teatrze światowym, a narazie tylko przewróciła w umy-

słach widzów, została odegraną, w myśl najnowszych prądów, nie od początku do końca, lecz od końca do początku. Skutek był nadzwyczajny, bo ludzie, którzy dotychczas nie mieli żadnych, wątpliwości, tyczących się swoich władz umysłowych, przyznawali się teraz, że albo oni zwarjowali albo reżyser.

Na wigilji tych drużyn był też i św. Mikołaj, ale że przyszedł odmłodzony (syst. Woronowa) więc go nikt by nie poznał, gdyby nie kartka z napisem: „Jam jest św. Mikołaj". Dary św. Mikołaja odznaczały się drogocennością i wartością swą w życiu codziennem jak np.: figa (krajowa) rzeźbiona z marmuru (pospolicie zwanego gliną) podarowana skarbnikowi drużyny jako talizman, lub taki dar jak „Podręcznik sztucznego oddychania dla ledwo żyjących zastępów", podarowana jednemu zastępowemu.

Dnie i noce trzeba byłoby pisać, gdyby komu przyszła do głowy myśl wypisania wszystkich pomysłów sześciu drużyn harcerskich, gdyby jednak ktoś szczególniej zainteresował się operetką i chciał usłyszeć melodję, ten niech przyjedzie tu, gdyż nut wysłać nie możemy, bo nie posiadamy, zanucić tylko możemy.

Czuwaj!

„TRZYNASTAK z WILNA"

Z DOLINY AMAZONKI.

ŻÓŁW JABOTY.

(Ciąg dalszy)

Ale żółw Jakoby zawarł jeszcze dawniej z pająkiem-ptakojadem Aranją rodzaj spółki, i zamieszkali razem, dzieląc się uczciwie tem, co każdy z nich upolował. Więc gdy byli zajęci dzieleniem mięsa tapira Tabayúh, nadszedł niespodzianie plamisty jaguar Jauarà i zapytał:

— Co robicie?

— Upolowaliśmy tapira—odpowiedział żółw Jaboty—i dzielimy się jego mięsem.

— Doskonale — rzekł jaguar — pozwólcie, że wam w tem pomogę, — i siadłszy na własnym ogonie, zaczął pożerać tapira ku wielkiemu niezadowoleniu obu wspólników. Więc żółw oświadczył, że idzie do rzeki, aby się napić wody, ale w rzeczywistości zmoczył wargi i wrócił do jaguara.

— Gdzie jest woda? — zapytał go jaguar—bo i mnie zachciało się pić.

— Tam!—rzekł żółw, wskazując na zachód—woda jest tuż pod słońcem, idź wprost przed siebie, a znajdziesz ją niebawem. Jaguar usłuchał żółwia i poszedł wprost przed siebie, a nie znalazłszy nigdzie wody, wrócił zły do domu, ale Jaboty i Aranja zjedli tymczasem tapira i poszli do dżungli szukać nowego mieszkania, pozostawiając jaguarowi ogryzione kości.

Więc jaguar zaprzysiągł krwawą zemstę żółwiowi i obiecał, że skoro go tylko spotka, pożre go żywcem. Tymczasem małpa Guariba, wlazłszy na palmę miriti,[1]) rwała rosnące na niej orzechy, kiedy żółw Jaboty, przechodząc pod drzewem, zawołał:

— O Guaribo! co robisz, siedząc tam u góry?

— Jem orzechy — odpowiedziała małpa Guariba, a żółw zaczął ją prosić, aby mu pomogła wdrapać się na drzewo, bo jest głodny. Małpa Guariba zeszła na ziemię i podsadziła żółwia, który, wlazłszy na samą górę, zaczął smacznie zajadać, sama zaś

---

[1]) „Miriti" (*Mauritia flexuosa*) pospolity rodzaj palmy z szeroką koroną liściastą u góry.

pobiegła do lasu, obiecawszy, że wróci niebawem i pomoże żółwiowi zleść z drzewa.

W tym czasie właśnie przechodził tamtędy jaguar Yauarà i spojrzawszy do góry, zobaczył siedzącego na palmie żółwia Jaboty.

— Co tam robisz, o Jaboty?—zapytał żółwia jaguar Yauara.

— Jem orzechy palmy mirito — odrzekł Jaboty.

Jaguar zaczął go prosić, aby mu zrzucił kilka orzechów, a gdy żółw spełnił jego prośbę, rzekł:

— Czemu nie zejdziesz do mnie na dół, o Jaboty, we dwóch byłoby nam weselej. Żółw zaczął mu tłumaczyć, że nie może zejść z palmy o własnych siłach, ale jaguar oświadczył, że w takim razie on sam wlezie na drzewo. Więc Jaboty skoczył na dół, ale spadł umyślnie jaguarowi prosto na głowę, wyrżnął go swą skorupą w skroń i zabił na miejscu.

Po miesiącu żółw Jaboty wrócił na to miejsce, gdzie zabił był jaguara i znalazł na niem kupę bielejących kości, więc wziął piszczel jaguarową i uczyniwszy flet, począł grać na nim, a w końcu jął śpiewać *„Yauaretè kuanguerà sereny-my"*, co znaczy: „Kość jaguara jest moim fletem". Piosenkę tę usłyszał brat zabitego jaguara i przyszedłszy na miejsce, zapytał:

— O Jaboty, czy to ty śpiewasz *„Yauaretè kuanguerà sereny-my?"*

— Nie—odrzekł żółw Jaboty—ja śpiewam co innego, a mianowicie *„Suassu kuanguera serenymy"*, co znaczy: „Kość jelenia jest moim fletem".

Brat zabitego jaguara odszedł, a żółw, zakopawszy się głęboko w jamie pod palmą, zaczął znowu śpiewać:

— *Yauaretè kuanghera sereny-my*.

Co usłyszawszy brat zabitego jaguara, wrócił w to miejsce i rzekł:

— O Jaboty, za to żeś zrobił flet z piszczeli mego brata, pożrę cię żywcem.

Ale żółw znalazł tymczasem wyjście z jamy i uciekł do dżungli, i brat zabitego jaguara czekał nań napróżno pod drzewem. Aż wreszcie siedząca na palmie małpa Guariba zapytała:

— Powiedz mi, o Yauarà, na kogo czekasz pod drzewem?

A gdy jej jaguar odowiedział, że czeka na żółwia Jaboty, aby go pożreć żywcem, zaśmiała się i rzekła:

— Jesteś głupi, o Yauarà! Żółw Jaboty już dawno poszedł sobie do dżungli i wróci dopiero wówczas, kiedy nastaną wielkie deszcze.

Więc brat zabitego jaguara wstał i odszedł, wstydząc się, że dał się żółwiowi wystrychnąć na dudka.

A żółw Jaboty tańczył tymczasem z radości w jamie, którą był sobie w lesie wykopał, kiedy nadszedł Dobry Biały Człowiek i wziąwszy go na ręce, zaniósł go do swego domu i włożył do kosza, poczem wrócił do lasu. Żółw tymczasem zaczął śpiewać, a dzieci Dobrego Białego Człowieka zachwycały się jego śpiewaniem. Wówczas żółw przestał śpiewać i rzekł:

— Jeśli mój śpiew tak wam się podoba, co będzie wówczas, kiedy wam zatańczę?

Więc dzieci wyjęły żółwia z koszyka i położyły na ziemi, a on im tańczył, aż wreszcie skorzystawszy z pierwszej sposobności, uciekł do lasu.

Dzieci, bojąc się kary za wypuszczenie żółwia, pobiegły nad brzeg rzeki i znalazłszy duży, okrągły i płaski kamień, pomalowały go na kolor żółwi i włożyły do kosza. Niebawem nadszedł Dobry Biały Człowiek i będąc głodnym, postanowił ugotować żółwia, wyjął go więc z kosza i wrzucił do garnka, ale kamień rozbił garnek i woda zalała ognisko. Więc Dobry Biały Człowiek przetrzepał dzieciom skórę i poszedł do lasu szukać żółwia. (c. d. n.)

DRUHNY i DRUHOWIE!

Mimo ciężkich warunków materjalnych, rozumiejąc obowiązki nasze w stosunku do Harcerstwa — oraz pragnąc spełnić wymagania Czytelników „HARCERZA" — zmieniliśmy go na **tygodnik**. Uczyniliśmy to w nadziei, że Druhny i Druhowie poprą nas i przez prenumerowanie HARCERZA i zjednywanie mu czytelników umożliwią nam dalszy rozwój.

Zwracamy się też do Was Druhny i Druhowie z gorącą i serdeczną prośbą, spełnijcie te nasze nadzieje, a my będziemy dbali o to, by HARCERZ regularnie ukazywał się i dochodził Was możliwie jaknajprędzej.

W Waszych rękach Druhny i Druhowie jest byt HARCERZA i chcemy wierzyć, że wspólnym naszym wysiłkiem uda się zapewnić mu go na stałe.

Wpłacajcie regularnie prenumeraty!!!

CZUWAJ!

ADMINISTRACJA „HARCERZA"
Warszawa, Boduena 4 m. 1.

Z. H. P.
Centralna Komisja Dostaw

WARUNKI PRENUMERATY

tygodnika „HARCERZ".

Rocznie	wraz z przesyłką	28 zł.	Kwartalnie z przesyłką	. .	7.— zł.
Półrocznie	„ „ „	14 „	Egzemplarz pojedyńczy	. .	0.50 gr.

Zmiana adresu 50 groszy.

Zalegającym z prenumeratą więcej jak dwa tygodnie, pisma wysyłać nie będziemy.

ADMINISTRACJA HARCERZA
Centralna Komisja Dostaw.

Adres redakcji: Warszawa, ul. Boduena 4 m. 1.

Wydawca: *Naczelnictwo Związku Harcerstwa Polskiego.* Redaktor *T. Uhma.*

Druk. p. f. „LECH", Sp. z o. o., Warszawa, Koszykowa 33, Tel. 403-66